

ZWIĄZEK ORGANISTOWSKI

Pismo poświęcone muzyce, nauce i rozrywce.
Wychodzi 1-go i 15-go każdego miesiąca.

<p>Przedpłata kwartalna wynosi 1 K. 80 h.</p>	<p>Adres redakcyi: Związek Organistowski Tarnów (Drukarnia Józefa Styry.) — PISMEM KIERUJE KOMITET. —</p>	<p>Numer pojedynczy kosztuje 30 halerzy.</p>
---	--	--

Koledzy! Pamiętajcie o funduszu na cele organistowskie.

Do P. T. Panów Organistów w Galicji i Bukowinie!

Wiadomo Panom, że komitet organistów od lat 25-ciu nieustannie stara się i walczy o poprawę bytu tj. o ustanowienie stałych pensyi, unormowanie dochodów i zabezpieczenie w chorobie i na starość. Komitet organistów nie zaniedbał żadnej sposobności w tym kierunku i po dziś dzień odbywa zjazdy i narady, wnosi pisma tak do Konsystorzy jakoteż do Sejmu i do Parlamentu, i wysyła deputacye na każdą sesyę tak Sejmu jak i Parlamentu, tudzież na coroczne zjazdy organistów i dyr. chóru czy to w Pradze czy Bernie czy gdziekolwiek, ażeby tylko sprawę podtrzymać.

Ile kosztów na to poniesiono — nie licząc straty czasu i trudów — to ściślejszy komitet najlepiej o tem wie.

Jeżeli mamy wytrwać i starania nasze podwoić, aż do skutku, to właśnie teraz potrzebny jest komitetowi znacznie-szy fundusz.

Komitet zaangażowany jest na znacznie-szą kwotę, którą zebrać musi i to wkrótce, — gdyż od tego zależy dalsze prowadzenie sprawy.

Wobec tego wzywamy P. T. organistów, ażeby między sobą urządzili składkę n. p. dekanatami lub powiatami i zebrany fundusz przesłali redakcyi „Związku Organistowskiego“ ta zaś złożoną składkę przesła na ręce przewodniczącego komitetu organistów a potwierdzenie odbioru wydrukuję w gazecie i ogłosi drukiem całe dotychczasowe sprawozdanie kasowe.

Upraszamy zatem pp. Organistów od składek się nie uchylać, ażeby tym sposobem ułatwić komitetowi jego trudne zadanie, jakie spełnić przyjął na się obowiązek.

Przy tej sposobności wzywamy uprzejmie pp. Kolegów, aby rozwinęli całą energię w celu pozyskania dla naszej gazety „Związku Organistowskiego“ jak największej liczby zwolenników a względnie prenumeratorów, gdyż tylko przy odpowiedniej ilości prenumeratorów będzie można działalność rozwinąć i pozwolić sobie na wydawnictwo szkółki śpiewu, szkoły na fortepian względnie organy jak niemniej na inne dodatki nutowe.

KOMITET ORGANISTÓW GAL.

O udziale niewiast w śpiewie liturgicznym.

Omnis spiritus laudet Dominum.

Powiadają, że wszelka krańcówść jest rzeczą szkodliwą, że zatem prawda zawsze jest na środku: *in medio stat veritas*. Niedawne to jeszcze czasy, kiedy, szczególnie w wielkich miastach, rozmaite salonowe i teatralne, częstokroć różnowierczego pochodzenia, albo też wątpliwej moralności „primadonny“ samowolnie popisywały się w kościołach swymi śpiewami. Z takiej to ich samowoli wynikłe nadużycia wielokrotnie już były powodem do wywołania formalnego, a żeńskie śpiewy z kościołów stanowczo usuwającego zakazu, opartego na słowach św. Pawła Apostoła: „Mulie-

res in Ecclesiis taceant,“ które to słowa są zastosowane do dawniejszych czasów i dawniejszych okoliczności. Ponieważ zaś ten zakaz nie jest jeszcze ostatecznie rozjaśnionym*) a więc i nie jest on tymczasem i stanowczo obowiązującym, przeto ażeby uniknąć nagłego przeczucia się z jedną krańcową ostatecznością w drugą, czyli, żeby z

*) Słowa te św. Pawła nie odnoszą się do śpiewu, gdyż w początkach Kościoła św. wszyscy razem podczas nabożeństwa śpiewali, a więc i niewiasty, — odnoszą się one do nauczania publicznego w Kościele, które tylko kapłanowi jest dozwolone a zabronione wszelkim niewiastom, nawet diakonisom a później zakonnicom.

dotychczasowej nadmiernej samowoli nagle się nie przerzucić w nadto ścisły rygorizm, nikomu bynajmniej zdania swego nie narzucając, chcemy tu z punktu najzupełniejszej bezstronności, w obronie prawdy skreślić kilka słów stosownego wyjaśnienia.

Jeśli kobiety miały w kościołach milczeć, to chyba nie dla tego, że one są kobietami, i również nie dla tego, że ich głos o całą oktawę od męskiego jest wyższym. Musiałaby chyba inna, ważniejsza być w tem przyczyna. Jeśli się zaś kobiecych głosów do kościelnego śpiewu miało już stanowczo teraz nie dopuszczać jedynie tylko w celu uniknięcia jakichbądź zgorzeń, awantur i nieporozumień, to naprzód trzebaby gruntownie zbadać, czy od czasu gdzieś wydarzonych gorszących i skandalicznych wypadków, przyczyną były same li tylko żeńskie śpiewy, czy może zupełnie co innego.

Gdzie w kościelnych śpiewach głównym celem jest nie tyle istotna pobożność, ile raczej tylko osobisty popis, a szczególnie gdzie się zwykło pisać nad możność, nad stan i nad siły, tam rzeczywiście trudno jest do chóru dobierać osoby tylko wzorowej pobożności, a małej umiejętności; gdyż chcąc koniecznie wykonywać tylko wyższego stopnia utwory należycie i dobrze, rzeczywiście niema innej rady, jak tylko trzeba się starać o chórzystów z wyższym muzykalnym wykształceniem, bez względu na to, czy ich wiara i moralność bardzo poważne przedstawiała wątpliwości, i czy te osoby do innych należały wyznań. W takich to więc, prawdziwie muzykalnych, fachowych, ale częstokroć mało religijnych śpiewających chórach, gdzie albo osobiste odznaczenie się, albo też pieniężny interes

a nie modlitwa, głównym jest celem, coś dziwnego, że rozmaite nieporozumienia, komaże, a nawet i skandaliczne, romansowe mogą się praktykować awantury? Gdzie się więc tak dzieje, tam nietylko żeńskie, albo mieszane, ale też i same tylko męskie głosy, skrytykowane i zganiłone, ale nawet i najcelniejsze liturgiczne utwory, do najrozmaitszych zgorzeń mogą być powodem. Bo jeżeli chórzyści są np. bez wiary i moralności, jeśli oni chór kościelny uważają na równi z teatralną estradą jak utwory nieliturgiczne nie zgorszą ich, tak etż specjalnie liturgiczne, nawet istotne arcydzieła bynajmniej ich nie nawrócą, nie poprawią, na ich przekonania nie wpłyną, sposobu ich życia nie odmienią, i do przyzwyczajenia w kościele zachowania się nie nakłonią. Cóż więc tu winny głosy żeńskie?

Druga niemniej ważnych gorszących wypadków przyczyna niekiedy bywa taka. Jeżeli który organista w celu prawdziwie godnego kościelnych swych obowiązków pełnienia stara się urządzić w kościele śpiewy, i jeśli ze strony swych zwierzchników żadnej niema pomocy, jeśli więc jego dążność i praca jest najzupełniej ignorowaną, jeśli on prócz dobrowolnie na się przyjętego obowiązku uczenia, sam też musi chórzystów zbierać, namawiać, zachęcać, zapraszać, zobowiązywać, nawet i swoim kosztem ich podejmować, oraz jeśli on do ich uczenia niema swobodnego miejsca i czasu, jeśli przeto uczenie to prowadzić musi za ledwie tylko ukradkowo — a przecież w niektórych parafiach tak się praktykuje — w takim razie ciż chórzyści wbijają się w pychę, tak iż nic powiedzieć, z niczem poprawić, i o niczem ostrzedz ich nie można boć oni, podług swego mniemania, ogromną dla organisty

robią łaskę. Zatem, jeżeli on chce, ażeby długoczesna gorliwa jego praca za lada kaprysem „panów“ chórzystów nie zmarniała w jednej chwili, musi politykować, musi ich zachciankom dogadzać; musi być ostrożnym, ażeby którego z „ichmościów“ nie obrazić, musi więc niektóre ich wybryki tolerować, gdyż w razie monity, gotowiby się oburzyć i z chóru wystąpić, więcej już na naukę śpiewu nieprzyjść i innych pobuntować. Czyż więc i na tym punkcie samych tylko żeńskich głosów jest wina?

Nigdy i nigdzie nie brakło ludzi złej woli, a takie to egzemplarze mogą się znajdować zarówno przecież pomiędzy kobietami jako też i pomiędzy mężczyznami. Tacy to więc ludzie, wszystkiego umieją nadużyć, wszystko umieją na złe obrócić wszystko umieją zhańbić, splugawić! Nie ma na świecie takiej specjalności, któraby nie była kiedykolwiek przez nich wyszydzoną, niema najpoważniejszego i najświętszego nawet stanowiska, któreby nie było przez nich sprofanowane. Toć nawet i pomiędzy św. Apostołami znalazł się jeden zdrajca Judasz. Że zaś ognia, wody, żelaza, powroza, albo też innego jakiegokolwiek przedmiotu do zbrodniczego, morderczego albo też do samobójczego ktokolwiek użył kiedy celu, to czyż dla tego cała społeczność miałaby już tych przedmiotów nie używać? Że się więc gdzieś, kiedyś, z okoliczności jakoby kościelnych śpiewów, a właściwie pod wpływem ludzi złej woli, wydarzyły skandaliczne wypadki, czyż można dziś wskutek tego nawet najuczciwszych ludzi szlachetne dążności paraliżować? — czyż można ich od kościelnego śpiewu odsuwać? Jeżeli w celu uniknięcia nadużyć i zgorzeń miałoby się z kościołów same tylko żeńskie usu-

wać śpiewy, to również z tego samego względu wypadałoby usunąć chyba też męskie i chłopięce, boć swawolni chłopcy mogliby się też kiedyś na chórze popychać i skryte, szkodliwe oraz grzeszne płatać figle a zaś pomiędzy mężczyznami mnóstwo mogło by się przecież okazać ludzi nałogowych, nie zupełnie pobożnych, a w takim razie, śpiew kościelny stałby się udziałem wyłącznie już chyba tylko zniechędzonych i „spoważniałych“ szpitalnych dziadów, bab, kościelnych służalców i rzemieślniczo najemnych specjalistów.

Jeżeli śpiew kościelny mamy uważać jako wspólną zgromadzonych wiernych modlitwę, to nikogo, zatem ani panów, ani prostaczków, ani mężczyzn, ani kobiet, ani młodzieńców, ani dzieci, od niego nie można odpychać, ale owszem, wszystkich zdolnych i chętnych do współudziału w nim najżyyczliwiej należałoby przyjąć. Potrzeba tylko z jednej strony umieć poznać ludzi niezdolnych do śpiewu i tych ostrzedz, ażeby oni w cichociśni się modląc, innym zgodnie śpiewającym nie przeszkadzali, z drugiej zaś strony umieć poznać ludzi złej woli, przewrotnych i tych wcześniej pousuwać. Ponieważ dotychczas — jak wyżej była wzmianka — pomimo niedogodnych warunków i pomimo ogólnego braku odpowiednich śpiewnych zdolności u naszego ludu, wszędzie pretensjonalnie porywano się do produkowania utworów stosunkowo za trudnych, przeto do chórów kościelnych dopuszczano niekiedy ludzi wątpliwej moralności, by się zaś na przyszłość bez podobnych osobistości obyć było można, potrzeba przedewszystkiem z jednej strony samą tylko wzorową i moralnie się wychowującą rozmaitych klas młodzież wcześniej do kościelnego

śpiewu zachęcać i przyzwyczajając, oraz pod osobistym poważniejszych osób nadzorem umiejętnie i systematycznie oną w tej nauce kształcić, z drugiej zaś strony do trudnych utworów nie porywać się, ale wykonywać śpiewy odpowiednie do miejscowych warunków i stopnia uczącej się młodzieży. Tym więc sposobem wszelkich zgorzeń i nadużyć z największą się zawsze uniknie łatwością, bo gdzie jest pewien stały kierunek, pewien system, ład i porządek, tam żadne nieporozumienia, awantury i skandaliczne zajścia, nigdy praktykować się nie mogą.

Ponieważ śpiew kościelny jest modlitwą i zarazem też najwznioślejszym liturgicznych obrzędów uświetnieniem, przeto w istocie słuszną jest rzeczą tego żądać i wymagać, ażeby przyjmujący w nim udział chórzysty nie tylko pięknym głosem i talentem, ale nadto cnotliwym i wzorowym życiem się odznaczali. Z tego punktu zapatrując się na tę rzecz, pytamy: po którejże stronie widzimy więcej objawów istotnej religijności i pobożności? — kto się przeto do figurowania w kościelnym chórze bardziej kwalifikuje? mężczyźni czy kobiety? Któż się częściej i szczerze spowiada i modli? kto chętniej do kościołów uczęszcza? kto ściślej zachowuje posty? kto wierniej i akurataniej wszystkie wypełnia powinności? Ażali nie kobiety? Czemużby się więc od kościelnego śpiewu miało je odpychać? Spójrzmyż na zapewniające presbyteryja nasze klasę „tużurkową,“ jakąż tu znaczną pomiędzy mężczyznami a kobietami spostrzeżemy różnicę! Tej klasy nie tylko lekkomyślni młodziki, ale nawet „najpoważniejsi“ i „najwzorowi“ mężczyźni przez cały czas nabożeń-

stwa na laseczkach się podpierając, muskaniem tylko wąsów i głaskaniem czupryn zwykli się zabawiać, a nawet w czasie podniesienia Najświętszego Sakramentu przyzwocioie przykleknąć formalnie się wstydzają, kiedy właśnie ich żony, córki, siostry i matki przykładnie z ksiązek na klęczkach się modlą. Przy nauce śpiewu, w czasie prób, któż się lepiej, spokojniej i przyzwocioiej zachowuje, ażali nie dziewczęta? Jak dla chłopców swawole, psoty i figle, tak dla mężczyzn palenie papierosów, a niekiedy i nadużycie trunków, oraz wynikająca ztąd głosu chrypliwość ogromną w tej nauce stanowi przeszkodę. Tej lub owej klasy mężczyznie na próbie, jeżeli w razie potrzeby ostrzeże delikatnie, w żart to sobie obróci, i zupełnie się do wymagania nie zastosuje, jeśli się zaś go zmonituje stanowczo, wnet się oburzy i na naukę więcej już nie przyjdzie; gdy przeciwnie każda skromna dziewczeczka przy najdelikatniejszym nawet ostrzeżeniu rychło się zawstydzi, zmilczy i następnie przeprosi.*)

(Ciąg dalszy nastąpi.)

*) W gimnazyalnych, seminaryjskich, akademickich, klasztornych i innych tym podobnych chórach, udział żeńskich głosów rzeczywiście byłby bardzo niestosowny i naganny, — w kościołach zaś parafialnych zwłaszcza po wsiach i miasteczkach rzecz się ma zupełnie inaczej. Tu mężczyźni, którzy istotnie są religijni i pobożni, przeważnie do pospolitej robotczej należą klasy w ogólności są niemuzykalnymi, którzyby zaś z muzykalnością jakkolwiek mogli być obeznani, ci znowuż jako już »tużurkowie« zazwyczaj są nie dość religijnymi, nie dość pobożnymi, a niektórzy są i niemoralnymi są więc pomiędzy nimi i tacy, którzy w kościelnym chórze byby mogli zgorzeniem, zakalać. Chłopięce znowuż tworzyć chóry i utrzymywać łatwo jest jedynie tylko tam, gdzie są szkoły i szkółki od kościołów zależne i kościelnym też kosztem utrzymywane, a takich zakładów przecież w naszym kraju nie ma.

ROBERT SCHUMANN.

V.

Robert Schumann był więcej niż średniego wzrostu, dosyć dobrej tuszy; trzymał się prosto, z godnością, spokojnie; za to ruchy jego były powolne, ciężkie i cokolwiek zaniedbane. Odpowiednio temu, oczy miał na pół otwarte, albo na ziemię spuszczone; ożywiały się jednak, gdy rozmawiał z przyjaciółmi lub dobrymi znajomymi. Wtedy wyraz oczu bywał bardzo miły, sympatyczny.

Oblicze jego nie odznaczało się pięknnością rysów, było jednak rozumne i pewną dozą dobroduszości nacechowane. Usta kształtnie wycięte, cokolwiek naprzód, jakby do palenia fajki wystające, stanowiły wraz z oczami najczęściej pociągającą część jego pełnej, okrągłej i rumianej fizyognomii. Po nad krótkim, nieco zadartym okrągławo nosem, wznosiło się wysokie, wypukłe czoło, w skroniach znacznie rozszerzone. Gęste i długie ciemno-brunatnej barwy włosy, nadawały całej głowie pewien charakter siły, tęgości, czyniąc jej kształt prawie kwadratowym.

Na obliczu Schumanna nie odzwierciadlało się tak wiele ruchu życiowego duszy, jak to u innych krwistego temperamentu ludzi daje się spozstrzegać; ale gdy je rozjaśniał uśmiech zadowolenia lub dobrego humoru, co jednak bywało rzadkim wypadkiem, wtedy dziwnie ujmującem się stawało.

Długie stanie na miejscu było mu uciążliwe; gdy do tego był zmuszonym, zakładał w tył ręce, albo założywszy jedną, drugą muskał w zamysleniu włosy w okolicy ust lub szyi. Gdy spoczywał bez zajęcia, bawił się prostowaniem palców.

Sposób jego postępowania z lu-

dźmi był bardzo prosty. Mówił mało, albo nic zgoła, nawet wtedy gdy go o co pytano. Najwięcej, jeżeli w takim razie skinieniem głowy lub krótko urywanemi słowy odpowiadał. Ci, co go znali bliżej, nie brali mu tego za złe, gdyż wiedzieli, iż czynił to mimowiedzy, bez chęci ubliżenia, będąc zawsze głęboko zamyślonym. Mówił zwykle tak jakby sam z sobą rozmawiał, tembardziej, że organ jego głosu był słaby, przytłumiony. Rzeczy zwyczajne, codzienne, nie go nie obchodziły; o ważniejszych, mogących go więcej interesować, rzadko tylko mówić lubił. Można było godzinami całemi być w towarzystwie Schumanna, a nie usłyszeć od niego ani jednego słowa; rozmownym bywał w rzadkich wyjątkowych chwilach. Małomówność jego nie pochodziła z braku sympaty albo niechęci do kogo, lecz stanowiła właśnie charakterystyczną cechę jego natury.

Kapelmistrz Dorn, nauczyciel i przyjaciel Schumanna, gdy po długim czasie niewidzenia się z nim, przyszedł go odwiedzić a było to w roku 1843, w dniu urodzin jego żony, zastał u Schumannów dosyć liczne zgromadzenie. Bawiono się muzyką. Pomiedzy gości widziano także Mendelssohna. Schumann przechadzał się po pokojach, jak zwykle — milezący. Skoro Dorn zabierał się już do opuszczenia towarzystwa wtedy Schumann żegnając go, wyrzekł z ubolewaniem: „Ach jaka szkoda, żeśmy się z sobą nie mogli nagadać.“ Dorn, pocieszając Schumanna, odpowiedział: „Tak, to prawda; ale za to gdy przyjdę innym razem to się dopiero z sobą *namilczymy!*“

Z osobami wciskającemi się w

sposób zbyt poufały lub natarczywy do znajomości Schumanna, był on dosyć opryskliwy. Gorzej jeszcze pod tym względem działał się pod koniec jego życia, nękanie go cierpieniami choroby umysłowej. A jednak w gruncie rzeczy, posiadał wielką dozę wrodzonej dobroduszości i uprzejmości, objawiającej się zawsze w małym gronie poufnych przyjaciół, przy kufelku piwa lub kieliszku wina. Lecz w późniejszych czasach i to się nawet zmieniło. Zasiadał wprawdzie nałogowo do stołu przez przyjaciół zajmowanego, lecz paląc cygaro i popijając piwo, więcej jeszcze był milejącym, aniżeli dawniej. Zdaje się, iż duch jego twórczy, zajęty wielkimi muzycznymi kreacjami, nawet w knajpie, w kole dobrych przyjaciół, nieustannie wciąż pracował.*)

Schumann w ogólności wiódł życie bardzo regularne. Do godziny 12 w południe pracował, potem zazwyczaj z żoną albo z którym z bliższych znajomych udawał się na przechadzkę. Jeżeli po drodze spotkał swoje dzieci, zatrzymywał się przykładał lornetkę do oczu, popatrzył na nie chwilę, pytając: „To wy, kochane moje maleństwa?“ Poczem przybrawszy dawniejszą minę, jak gdyby nic nie zaszło, szedł dalej w swoją stronę. Czasami i tego nawet nie wymówił, tylko popatrzywszy na dzieci, ruszał w drogę. O 1-iej jadł obiad i po krótkim spoczynku, pracował do 5 lub 6 godziny. Następnie zaraz udawał się do restauracyi albo do klubu, dla czytania dzienników, wypicia szklan-

ki piwa albo wina. O godzinie 8ej wracał do domu na kolację.

Na wieczory towarzyskie, na herbaciane, z małemi bardzo wyjątkami nie uczęszczał wcale, za to u siebie przyjaciół i miłośników sztuki chętnie przyjmował i wtedy umiał być nawet wielce uprzejmym gospodarzem. Wasilewski powiada, iż razu jednego w Düsseldorfie Schumannu wpadł w tak dobry i wesoly humor, że po muzyce i kolacyi zaproponował tańce i ku nadzwyczajnej ucieście przytomnych sam począł zawzięcie tańcować.

W pełnieniu przyjętych na siebie obowiązków był on niezwykle sumiennym i surowym, chociaż w razie przewinień ze strony osób od niego zależnych, rzadko kiedy unosił się namiętnym gniewem. Jednak, gdy to miało miejsce, prędko się opamiętywał, uspokajał, starając później uprzejmem obejściem sprawę załagodzić, naprawić. Tak samo bywało z osobami, dla których w przystępie złego humoru okazywał się niekiedy szorstkim; skoro zły humor przeminał, pojmował zaraz całą niewłaściwość swojego postępowania i jak mógł grzecznością wynagradzał. Tylko względem ludzi złośliwych, niecnie postępujących, z całej duszy się oburzał i nigdy już wstrętu swojego w obec nich poskromić nie umiał.

Jako muzyk i krytyk, mógł Schumann, być zawsze dla wszystkich przykładem. Zazdrość, zawistę, nieznanę były jego duszy, owszem gotów był pierwszy oddać hołd każdemu utalentowanemu artyście, bez względu na jego pochodzenie. Jednak wobec dramatyczno-muzycznych utworów włoskiej i francuskiej szkoły, był często niesprawiedliwym. Na tym punkcie wyroki jego krytyczne grzeszyły brakiem spokojnej obiektywności.

*) Schumann palił zwykle wyborowe a mocne cygara. nazywając takowe »dyałekami« »kleine Teufel« Z win zaś najlepiej lubił szampańskie, »bo ono—mawiał—wydobywa iskry ducha« »schlägt Funken ans dem Geiste.«

W ostatnich latach swojego artystycznego zawodu postawił się nawet nieprzyjaźnie względem takich wielkich mistrzów, jakimi byli Haydn i Mozart. Ublżające sądy, jakie czasami o ich dziełach wydawał, jak z jednej strony były produktem chorobliwej jego wyobraźni i mogły łatwo wielu w błąd wprowadzić,

tak z drugiej strony dowodziły skrajnych różnic, zachodzących pomiędzy charakterem produkcji dawnych mistrzów, a światem nowych idei, jakie sobie Schumann mianowicie na schyłku życia o sztuce muzycznej utworzył.

(Dokończenie nastąpi.)

Mozart w drodze do Pragi.

....I zwolna zjeżdżano w dolinę. Słońce silnie świeciło, zasilając ziemię i jej istoty organiczne w miłe i rozkoszne ciepło. Piękna dolina, ożywiona promieniami tego złotowłosego światła, przybierała wygląd jakby jakiejś krainy marzeń. Zielono tu było i spokojnie naokół. Na drzewach tylko kołyszając się leniwie, pokazał główkę czasem luby ptaszek, grając tęskną aryjkę. Śliczna ta okolica oddechała wonnym powietrzem, przepelnionem zapachem róż i lilii z sąsiedniego ogrodu. Mozart odetchnął głęboko, jakby się chciał napić tej ambrozji boskiej. Pragnął tu w tej kotlinie, w tym zacisznym kąciuku odpocząć z długiej drogi, posilić się i znowu stąd ruszyć. Na samym końcu prawie wioski, leżącej w dolinie, ujrzał Mozart dom zajezdny, przed którym wysiadł. Wszedł do wnętrza. Stały tu drzwi otworem. Nikogo nie było. Wreszcie zjawił się gospodarz zwabiony turkotem pojazdu. Ujrzawszy nieznanego skłonił się nisko i rzucił się do usług. „Prosiłbym o przygotowanie obiadu“, rzekł mistrz. Gospodarz wydał stosowne polecenie służbie. Mistrz tymczasem ulokował się na piętze. Wnet jednak powrócił dopytując się o obiad, do którego się dopiero zabrano. Nie uważając za stosowne czekać w zmurzałej izdebce, wyszedł

poza obręb domostwa, w którym chwilowo mieszkał, by podziwiać i napawać się malowniczym położeniem okolicy. „Miłym tym stronom,“ jak się Mozart wyrażał, dodawał uroku śliczny park hrabiego Szinberga. Wstęp był tam wzbroniony. Tego jednak dnia, ponieważ hrabstwo wyjechało, duża stalowa brama była otwarta, pozwalając wejść do ogrodu każdemu, co go pragnął zobaczyć. Mozart idąc krok za krokiem, obserwując przydrożne chatki, zawlókł się do ogrodu. Tu wzrokiem jednego krzaczka u drzewka nie pominął, gdyż te pokazując swe śliczne krągłe owoce, przykuwały uwagę przechodnia. Wreszcie stanął przy srebrzystym basenie, gdzie rybki płąsy zawodziły przy wtórze spadającej fontanny. Pieścił tym widokiem swe oko dość długo. Znowu kilka kroków się posunął i dojrzał drzewo pomarańczowe. Lśniły się na niem czerwone, soczyste owoce, które wyglądały z daleka jak korale na drzewie w głębiach morskich. W cieniu tego drzewa kryła się ławka ze stolikiem, co się mieniło od słońca różowym barwikiem. Mozart usiadł upojony wrażeniami i odurzony zapachem białoramiennych lilii. Wsłuchiwał się w ciszę i miarowy plusk wody w basenie. Mimo to jednak nie spuszczał oka ze smacznego owocu, który wisiał tuż nad

jego głową. Kilka razy podniósł rękę, by sięgnąć po rzeźwiący kasek, ale się wstrzymał. Im więcej nad tem rozmyślał, tem bardziej go to nęciło. Wreszcie mimowoli zgrabnie palce ułożył i uszczknął przedmiot swego chwilowego marzenia. Dobył scyzoryka z kieszeni i jednym cięciem przepołowił pomarańczę. Prędko załatwił się z zawartością, tejeż i począł pozostałe dwie części skorupy przykładać, lepić... ale nie szło. Pragnął jakoś nazad zawiesić na drzewie sztucznie by nikt nie poznał, gdy w tem... w podłużnej alei ukazał się mężczyzna z gęstym zarostem na twarzy. Mozart błyskawicznym ruchem ukrył skorupę w tylnej kieszeni długiego surduta. Manewr ten jednak tajemniczy, spostrzegł już ogrodnik. Mozart stał nieruchomo, wlepiwszy tylko w przybyłego swe czarne, pełne czaru oczy. I ogrodnik nie śmiał nic jakoś przemówić, ujrawszy nieznajomego, zdradzającego bądź co bądź człowieka inteligentnego ze sfer wyższych. Tak stali w milczeniu jak dwa żywe posązki czas jakiś, wpatrując się sobie uporczywie w oczy.

— Czemu pan zniszczył pulchny owoc? — rzekł wreszcie ogrodnik, — widząc łupy czerwone, wyskakujące awanturniczo z dziurawej prawdopodobnie kieszeni. — Mozart drgnął. —

Jaki owoc? — Czego pan żadasz odemnie? próbując kłamać. —

Zamiast odpowiedzi, wskazał urzędnik hrabiowski, szczątki pomarańczy, leżące spokojnie na ziemi i wyczekujące w naprężeniu na dalszy los. Zobaczywszy to mistrz zapłonął się jak niewinna dziewczica. W tej chwili jednak przybyli z tylnych alei na dany sygnał pomocnicy ogrodnika, który zostawiwszy ich na razie przy zbrodniarzu udał

się do hrabiego, który dopiero powrócił z drogi, by dać znać o wypadku. Mozart tymczasem usiadł przy stoliku i napisał list przepraszający do właścicielki ogrodu, hrabiny Schinberg. Jeden z pacholków pobiegł do pałacu do komnat władczyni, by go wręczyć.

Ponieważ hrabia nie miał zbyt wiele czasu, gdyż był zajęty przygotowaniem balu na wieczór, więc rozkazał ogrodnikowi zamknąć tymczasem przestępcę. Rozkaz wykonano i Mozarta osadzono w pięknej wysokiej sali, gdzie się przypadkiem znajdował fortepian. Tu zapomniawszy o swem zmartwieniu i począł początkowo cicho, później coraz głośniejszymi wznoszącymi się skargami przed głuchymi ścianami.

Hrabina przeczytawszy liścik, zerwała się z kręła i pobiegła do męża z miną naderwesolą. Ten w swym gabinecie rozprawiał właśnie z ogrodnikiem, który mu całą sprawę dość jaskrawo a nawet przesadnie przedstawiał, gdy wtem nagle rozwarły się podwoje i wpadła promienna małżonka hrabiego. —

Mężu, nie wiesz kto nas odwiedził, ten mistrz i wielki kompozytor Mozart raczył się dostać w nasze siederka. — Masz oto ten list i przeczytaj go sobie.

„Jasna Paui! Raczy przebaczyć mi popełnioną zbrodnię, którą tylko pod wpływem chwilowego podrażnienia wykonałem. Zerwałem owoc zakazany jak Adam, całkiem bezwiednie. Proszę więc Twą Wysockość o darowanie mi tego czynu, za który sam się pokucie oddaję. „Mozart, kapelmistrz opery wiedeńskiej, w drodze do Pragi.“

Hrabia wyleciał z pokoju jak opętany. — Co? — Kto? — Ten wielki mistrz tu w naszych progach gości? Skieek! — skinął na ogrodnika. — Pokaż mi natychmiast

drogę do tego więźnia. Hrabia, wzięwszy żonę pod rękę, podążył za przewodnikiem. Szli dość długo do trzeciego skrzydła zamku. Nagle usłyszeli śliczną, przeciągłą harmonię tonów. Płynęły one z pod rąk artysty jak mięciuchne i słodkie wołania bogiń we wiosennym tańcu, jak podmuch lekki kołyszącego się wiatru i ginącego gdzieś hen daleko, w nie skończoności, w niebiosach. Hrabstwo stało pode drzwiami z zapartym dechem, bojąc się wywołać nawet jak najcichszy szelest, by nie mącić tej cudnej, pełnej żalu i tęsknoty melodyi. A on grał i grał. Czasem z pod miękkich palców jego wymknął się ton, co przypominał dzwon, czasem zmartwienie jego przerażało się w obojętność, jakimś swobodnym i pełnym rezygnacji uderzeniem klawiszy. Grał i dzwonił, zmieniał instrument w orkiestrę. — Hrabstwo w jego symfonii utonęli.

II.

Mozartkroczył królewskimi krokami do sali balowej, ogolony, świeżo uczesany, ubrany w najgustowniejszy frak. W rękę dźwigał pęk nut, zawiąniętych w aksamitne wstążki.

Lokaj idący przed nim jak liktor otworzył drzwi. Mozart wszedł do środka. Uderzył go blask jakby tysiąca świateł, owionął go zaduch balowy. Niezliczone pary przeszkadzały mu. Szedł więc bokiem nie śmiąc trącić gości hrabskiego domu „Panie Amadeusz! Panie Mozart!” — dobywał się gdzieś z końca lustrzanej sali głos hrabiego. Mistrz oglądając się a, nie widząc nigdzie jakiegś znajomej twarzy powędrował dalej tajemniczo. Wkrótce znalazł się przy państwu Schinbergach. Złożył ukłon głęboki nawet w swoim rodzaju przesadny. „Dotrzymuję przyrzeczenia” ozwał się męskim głosem mistrz. Hrabia podał mu rękę i począł tak

mówić, prosić się i kręcić koło Mozarta, że ten nie wiedział, co się z nim dzieje. Artysta utkwiał wzrok na sali w jakiś punkt, który poruszał się wolno i zbliżał w stronę jego. Była to hrabina, młoda jeszcze, lecz czarująco piękna. W rysach jej twarzy malował się jakiś uśmiech niewinny, uśmiech jakiś nadziemski, włosy blond złote, utrefione były do twarzy. Oczka małe, niebieskie, usta miluchne, blade czerwone, z których płynęła jakby jakaś słodycz, jakieś pragnienie miłości. Zbliżyła się do Mozarta i przywitała z wyszukaną grzecznością. „Mistrzu, ach mistrzu, rzekła potem drobniuteńkim głosikiem, — zrób tak, bym słuchając twojej gry precudnej mogła bujać na skrzydłach ślicznych marzeń, bym mogła unieść się w krainę złotej przyszłości.

A mistrz słuchał z rozkoszą wyłaniania się uczuć tej młodej duszy. Zasiadł do fortepianu i począł muskać palcami przeróżne klawisze. Naraz zrobiło się zupełnie cicho. I umilkł szum jedwabnych sukien, zamarły nagle głosy ludzkie a mirty i cyprysy nachyliły uszu swych, listków i liści, by wessać w siebie odpływające tony. Mozart nurzając się w melodyach własnych kompozytów, grał z takim uczuciem, że wzruszył i wycisnął lzy z pod powiek słuchaczy. Nagle chwiać się począł, to bledniejąc to czerwieniejąc naprzemian, aż wreszcie... głuchy łoskot obudził salę. Mozart zemdlął.

III.

Po kilku dniach mistrz powrócił do zdrowia.

Wysiłek prawdziwie rodzicielski hrabiny i hrabiego Schinberga przyczynił się do uratowania Mozarta. Dziś kiedy odzyskał dawny humor, pierwszą jego myślą było skierować, swe kroki do komnat swej pani, by jej podziękować za przyjęcie,

gdyż w dalszą udać się drogę zamierzał. Zapomniał już nawet o swym dawnym areszcie, który mu taką łaskę zjednał u hrabstwa.

Otrzymał od nich przy odjeździe brylantowy pierścień, który na pamiątkę aż dośmierci nosił.

Gdy mistrz się na zaprzęg lokował Ogródnik coś z boku pakował.

Zajrzał Mozart po drodze

Do wielkiego tłumoku,

Co wisiał u boku

I zmartwił się srodze.

Leżało tam w strachu i śmiertelnej

[męce

Drzewo pomarańczowe zarznęte na

[przędce.

Aha! — pomyślał Mozart, chcą mnie znowu złapać i zawrócić z drogi!

Jedź Zazula! To gościnne progi!

L. Scerethi.

KRONIKA.

Zbrodnia na Jasnej Górze.

Rząd rosyjski otaczał ostatnich, niestety wielce lekkomyślnych księży administratorów szerególniejszą opieką i sympatją — co z biegiem czasu spowodowało nadużycia a w końcu nawet ciężki występki. Grono kapłanów zakonnych, chcąc uchylić przewrotnych kapłanów od zarządu czyniło starania, aby przez nowy wybór przełożonego, zażegnać jakieś przewidywane nieszczęście — lecz rząd się temu sprzeciwił.

Ze cierpią winowajcy — mniejsza o to. Ale cierpi i to wielce cierpi nasze duchowieństwo i społeczeństwo polskie.

Gdybyśmy jednak rzucili na jedną szalę sprawę Macocha i jego spółników — a na przeciwną szalę pracę tysięcy duchownych, którzy przez szereg setek lat pracują nad umoralnieniem ludu — którzy — jak nas poucza historia — w obronie wiary św. nieraz skazani byli na wygnanie, głód lub co gorsza umierali w podziemiach więziennych — to zobaczymy, że szala wielkich zasług duchowieństwa polskiego całkiem się przechyli.

Zwracamy się tedy jeszcze raz do pp. kolegów, aby przy każdej sposobności przeciwstawiali zasługi duchownych, iżby źli ludzie naszej

wiary świętej nie poniewierali i nie odbierali jej naszemu poczciwemu ludowi polskiemu!

Stanąc w obronie honoru naszego duchowieństwa polskiego, to obowiązkiem każdego prawego organisty!

W Krakowie odbył się ku uczczeniu pamięci H. Schumana, w setną rocznicę jego urodzin koncert Towarzystwa muzycznego.

Że koncert doszedł do skutku, zasługą to dyr. Nowowiejskiego.

I. Zjazd muzyków polskich.

Na pierwsze zebranie, które się odbyło w salach Tow. muz. w Lwowie, zebrało się około stu osób, których powitał najpierw prezes komitetu Szopenowskiego dr. Tchórznicki, następnie prezes Tow. muzycznego ks. Andrzej Lubomirski.

Potem odbyły się wybory biura zjazdu. Prezesem wybrano Ignacego Paderewskiego, wiceprezesami ks. Surzyńskiego, Wład. Żeleńskiego, Piotra Maszyńskiego i Romana Statkowskiego, sekretarzem p. Szarlita.

Klawicybą. Instrument ten, na którym p. Landowska w czasie nroczyściego obchodu Szopenowskiego odtwarzała naszych mistrzów z XVI. i XVII. wieku. wzbudził ogólne zaciekawienie, nie od rzeczy zatem będzie pokrótce go opisać.

Wydobyty przez naszą rodaczkę z pyłu zapomnienia protoplasta fortepianu, posiada dwie klawiatury i czasem aż do siedmiu pedałów. Klawiatura wyższa jest o oktawę wyżej strojona jak niższa, a pedały służą do podobnego celu, jak rejestra w organie; więc do łączenia klawiatur, łączenia oktaw i t. p. Struny nie wydają tonu jak przy teraźniejszym fortepianie przez uderzenie młotkiem, ale przez szarpnięcie piórkiem. Ztąd miły arfowy dźwięk klawicymbała, tworzący z niego instrument „par excellence“ salonowy. P. Landowska najślawniejsza w świecie wykonawczynie starych mistrzów posługuje się przepysznyim instrumetem z fabryki Pleyela w Paryżu, który na festiwal Szopenowski ze sobą przywiezie. (N. W.)

Automat skrzypcowy. Niemożna się dziwić, że w epoce, kiedy maszyna usiłuje zapanować nad światem i zastąpić wszędzie rękę ludzką, zaczyna się ona także wdierać w dziedzinę sztuki. Dawno też już wynaleziono mechanizmy, które pozwalają maszynowo grać na fortepianie lub organach; rozmaite pianole, fonole, angelusy i inne produkta, amerykańskiej przeważnie pomysłowości, coraz zuchwalej panoszą się na świecie, próbując rywalizować z wirtuozami. I jak wszystko zresztą na świecie mają swoje złe i dobre strony. Dobre, bo w razie jeszcze większego rozpowszechnienia się, położą może kres nieudolnemu dyletantyzmowi; złe, bo niewątpliwie wpływają na obniżenie artystycznej kultury, bo mimo najlepszych udoskonaleń nie przestaną być maszyną może bardzo czułą i dającą się kierować dowolnie, ale maszyną, z której nastroju i efektów uczuciowych, indywidualnych wydawać nie podobna. Ale maszyna grająca nie poprzestała na zdobyciu fortepianu, starała się

zagarnąć coraz to nowe instrumenty. Ostatnia z tych wynalazków maszynowo grających ma dźwięczną nazwę „Violinola“ automat skrzypcowy. Smyczek zastępują w nim małe kolisto wygięte płytki, które trąsają o struny, wydobywając dźwięk; zamiast palców biegają po strunach przyciski niklowe, poruszane pneumatycznie podług odpowiednich nut. Ale nawet sam wynalazca nie rokuje swemu dziełu zbyt wielkiego powodzenia, oświadcza bowiem szczerze w prospektach, że jego „Automatic Virtuoz“ może „w pewnym oddaleniu sprawiać wrażenie wirtuozaskrzypka. Z bliska jest tem, czem jest w rzeczywistości — maszyną, a ta nie zdoła ani wydobyć głębokiego tonu, ani przemówić do uczucia. St.

Kurs muzyki kościelnej w Berlinie otwarto pod wezwaniem św. Cecylii. W dzień otwarcia odprawiło się rano na jego intencję nabożeństwo w kościele św. Michała.

Institut ten muzyki kościelnej stoi pod kierownictwem p. dr. Józefa Kromolickiego, znanego w kołach naukowych i artystycznych muzyka kościelnego. Udziela on nauki teorii muzyki (harmonii, kontrapunktu itd.), śpiewu gregoryańskiego ze specjalnem uwzględnieniem chorału t. zw. watykańskiego, na nowo przez Ojca św. Piusa X zaprowadzonego, teorii śpiewu, dyrygowania i wykładów z wiedzy muzycznej. Lekcyi gry na organach i fortepianie udziela p. Behrends, znany w Berlinie artysta.

Słynny budowniczy organów p. Dinse objął wykłady o budowie, systemach itd. organów*. Ks. Schnura wykłada liturgię; aby uczniowie

*) Celem zapoznania pp. Organistów z ulepszeniami na polu budowy organów, zaprosiliśmy do współpracownictwa najwybitniejszego fabrykanta organów w kraju p. Zebrowskiego w Krakowie.

odebrali jak najszerze wykształcenie muzyczne mają i lekcyje na skrzypcach udzielane przez p. Melzera.

Instytut ten, w którym nauka trwa 9, a przy bardzo dobrem przysposobieniu ucznia 6 miesięcy, został założony z wiedzą i zezwoleniem najwyższej władzy duchownej archidiecezyi poznańskiej i dyecezyi wrocławskiej. Najprzewielebniejszego ks. biskupa dr. Likowskiego i Jego Eminencyi ks. kardynała Koppa, oraz książecko-biskupiej delegatury w Berlinie.

Muzyka kościelna. Kolega pan W. Adamczak wykonał podczas nabożeństwa dla Sodalicji mariańskiej panów w kościele OO. Jezuitów we Lwowie—J. Grubera: uroczyste preludyum; J. Rennera: romancę i preludyum z g-moll sonaty.

Na cele organistowskie ofiarowali panowie: W Ks. kan. Józef Janiszewski, ekspozyt Hliboka (Bukowina) 2 Kor. 80 hal., — Józef Jakubowski Złoczów 20 hal., — Fran-

ciszek Drozdowicz Dobczyce 2 Kor., Wincenty Wachowicz, Warzyce p. Jasło 1 Kor., — dyr. Piotr Smólski, Lwów 1 Kor. 20 hal., — Marcin Wojtowicz, Zręciu p. Chorkówka 20 hal., — Mikołaj Sywula, Seret (Bukowina) 20 hal., — Jan Fijałek, Krzywaczka p. Izdebnik 40 hal. — Józef Stopka, Odrowąż p. Czarny Dunajec 1 Kor. Koledzy ze zjazdu dekanalnego prez p. Józefa Jakubowskiego ze Złoczowa K. 3., Feliks Wachulski, Czarny Dunajec 1 K., Przez p. Jana Czechowskiego z Góry św. Jana (p. Szczyrzyce) imieniem zgromadzonych na zjeździe organistów z dekanatów Tymberskiego i Limanowskiego K. 14.— a to pp. Michał Zaczek 1 K., — Jan Woźniczka 1 K., — Szymon Malaga 1 K., — Piotr Polek 1 K., — Ignacy Szewczyk 1 K., — Wojciech Kryniec 1 K., — Tomasz Skawiński 1 K., — Jan Kwiczek 1 K., — Józef Kamionka 1 K., — Jan Weinbrener 1 K., — Józef Konieczny 1 K., — Marcin Kempa 1 K., — Józef Kolarz Jan 1 K., — Jan Czechowski 1 K.,

R O Z M A I T O Ś C I .

Z ŻYCIA ORGANISTY.

Zimowe słońce chyliło się już ku zachodowi, rzucając ostatnie promienie swe na obumarłą ziemię, pokrytą białym całunem śniegu, gdy drogą prowadzącą do Gołębia, małej wioski górskiej, postępował mężczyzna średniego wzrostu, lat około 45 mający, z małym tłumokiem na plecach. — Szedł zwolna, zamyślony, patrząc ponuro przed siebie. Na jego bladej twarzy znać było smutek i

wielkie znużenie, przytem dukało mu także pragnienie, dla zaspokojenia którego polykał od czasu do czasu małe grudki śniegowe. — Nagle oblicze mężczyzny rozweseliło się. Oko jego mimo zapadającego zmroku dostrzegło pierwsze chałupy wioski, które wkrótce przyspieszonym minął krokiem. Dążył on spieszenie w głąb wioski, skąd dochodził go z pobliskiego kościoła parafialne-

go głos dzwonu, na odgłos którego nieznamy zdjął z głowy czapkę, przezegnął się i idąc odmawiał cicho modlitwę. Niebawem stanął przed kościołem, nie wiedząc dokąd dalej się udać; lecz gdy spostrzegł dość liczne zabudowania tuż za kościołem, skierował kroki swe w tę stronę i zapukał do drzwi pierwszego domu. Wkrótce w oknach tegoż zabłysło światło, a po chwili też i drzwi się otworzyły, w których ukazał się starzec z długą siwą brodą, trzymając w rękę świecę. Zaledwie spostrzegł nieznanego, rzucił nań swe badawcze spojrzenie, zapytał uprzejmie, czego sobie życzy. Na zapytanie to nieznamy przybliżył się a pozdrowiwszy cichym głosem staruszka, odpowiedział, iż chce się tylko dowiedzieć, w którym domu mieści się plebania, gdyż jako obcy, nie zna tutejszej wioski. — Trafiliście prosto do niej, jak gdybyście tu sto lat mieszkali, odrzekł żartobliwie starzec, zapraszając nieznanego do wnętrza chaty. Ten otrzepawszy swe buty ze śniegu, podał za staruszką, który niebawem wprowadził go do małego lecz czystego i ciepłego pokoju. Zachęcony przez gospodarza nieznamy rozebrał się a usiadłszy na krześle obok staruszka w te odezwał się słowa:

Nazywam się Stanisław Rębicz pochodzę z Sosnowki, wioski oddalonej stąd o 9 mil, gdzie sprawowałem urząd organisty przy

tamtejszym kościele parafialnym. Posadę tę objąłem po śmierci mego ojca Piotra, który był także organistą w tymże kościele i mnie na następcę swego ówczesnemu ks. Proboszczowi polecił. Dopóki ów świątobliwy kapłan żył, życie moje choć ubogie równało się życiu najszcześliwszych ludzi na świecie. Lecz nie trwało ono długo. Z chwilą zgonu zacnego duszpastorza, wszystkie węzły się zerwały. Odtąd życie na plebanii stawało się dla mnie coraz cięższe i nieznośniejsze i w końcu byłem zmuszony posadę tę opuścić, którą natychmiast po mnie objął krewny obecnego ks. Proboszcza. Z rozdartem sercem opuściłem rodzinną wioskę, pozostawiając w niej na opiece sąsiadów żonę wraz z siedmiorgiem dzieci i wyruszyłem w świat za chlebem. — Minąłem już kilkanaście wiosek, lecz na próżno, — w żadnej z nich nie znalazłem kawałka chleba. Z kolei przychodzę i do tutejszej parafii z tą samą prośbą i spodziewam się, że tutejszy ks. Proboszcz nie odmówi mi swej pomocy... — I nie zawiodłeś się kochany Kolego — rzekł teraz staruszek — gdyż nasz ks. Proboszcz, chociaż człowiek starszy, ma litościwe serce, które mu nie pozwoli na to, by podróżny miał zginąć z głodu, zanim znajdzie kawałek chleba. I ja jestem organistą — ciągnął dalej staruszek — tułałem się także nieraz bez chleba zanim nasz litościwy kapłan przyjął mnie

pod swą opiekę. Obecnie jestem już zgrzybiały, — wiek mój nie pozwala mi tak pracować jak za lat młodych. To też ks. Proboszcz nieraz mi mówił, bym sobie wziął kogoś do pomocy. Lecz dotychczas nikt się nie trafił, aż dopiero Wy kochany Kolego; — to też możecie być pewni przyjęcia. — Ale dosyć już chyba tego — kończył staruszek, — ot i poży-

wić się trzeba, a i przespać, gdyż już północ nadchodzi, — a Wy z drogi, pewnie głodny i zmęczony. To rzekłszy staruszek zakrzytał się szybko koło kolacyi, po której przyrządziwszy dla swego gościa posłanie i życząc mu „dobrej nocy“ sam ułożył się do łóżka, aby zasnąć snem sprawiedliwych.

(Dokończenie nastąpi.)

Do tej parafii nie należy. Pewien wieśniak znany powszechnie z dobrego humoru, znalazł się przypadkiem w sąsiedniej wsi, a że to była niedziela, więc jako bogobojny zresztą katolik wstąpił do kościoła, aby się pomodlić. Nie mając wiele czasu, nie starał się o to, aby się dostać w głąb kościoła, lecz stanąwszy sobie przy wejściu, zaczął mówić pacierz. Gdy kapłan wstąpił na ambonę i w natchnieniu rozwinął temat kazania, wzruszeń przesłiczną mową parafianie słuchali jej z prawdziwą uwagą a niektórych poruszyło kazanie aż do łez. Nasz obcy parafianin, zobaczywszy w tłumie widoczną jakąś śmieszczą fizyognomię, uśmiechnął się do siebie w chwili, kiedy rozczulające słowa kazania padały do serc wierznych. Zobaczywszy to jeden z tamtejszych parafian, przybliżył się do obcego a dawszy mu w bok szturchańca rzecze: „Dlaczego się śmiejecie? — Czy nie słyszycie kazania, które aż łzy wyciska parafianom z oczu?“ — „A cóż mnie to obchodzi — odpowie obcy, — przecież ja do tej parafii nie należę.“

Podróż Chrystusa do Jeruzolimy. — Sprytnych dwóch pseudoaktorów za przybyciem do większego miasta, postanowiło urządzać przedstawienie religijne p. t. „Po-

dróż Chrystusa do Jeruzolimy“ — Tłumy publiczności garnęły się w dniu przedstawienia do sali teatralnej, aby w skupieniu wysłuchać tego wiele obiecującego przedstawienia. Skoro sala zapełniła się wierzniymi a przedstawienie się nie rozpoczynało, publiczność zaczęła się niebawem niepokoić, wreszcie okazała swoją niecierpliwość przez stukanie. Na głos dzwonka otwarto kurtynę. Zaciekawionej publiczności następujący przedstawił się widok: od strony prawej ukazał się stosownie ucharakteryzowany Chrystus, krocząc powoli i podpierając się laską. Z przeciwnej strony wyszedł z za kulis apostoł św. Piotr a skoro uszedł kilka kroków, spotkawszy się obaj na środku estrady, zapytał się św. Piotr: — „Gdzie idziesz Chryste“ — „Do Jeruzolimy“ — odrzekł Chrystus. „To chodźmy razem“ wtrącił św. Piotr — a ujawszy Chrystusa pod rękę, skierowali obaj swe kroki za kulisy. — Jeszcze dobrze nie zasunęła się kurtyna — obaj bohaterowie religijnego przedstawienia pędzili fiakrami na kolej, aby się nie spóźnić do niebawem odchodzącego kuryera.

Publiczność widziała ale tylko rzekomy prolog — po którym za kilkanaście minut nastąpiło.... rozczarowanie....

PP. Organiści, którzyby w obrębie swojej parafii, względnie i w dalszych stronach chcieli przyjmować zamówienia na dzieła bardzo ozdobne i pokupne, a przez Czcigodne Duchowienstwo wszechstronnie polecane, mogą objąć zastępstwo firmy polsko-katolickiej, bardzo ruchliwej i solidnej, a przytem osiągnąć dochody poboczne bardzo poważne. Wprawy osobnej nie potrzeba. **Objaśnienie itd. bezpłatnie.** — Zapytania należy adresować tak: *Firma Księgarnia Wydawnicza Polska, Poznań-Posen W. Garbary 37.* 2—5

„NOWOŚCI MUZYCZNE”

Czasopismo literacko-nutowe, poświęcone utworom fortepianowym

Wychodzi przy końcu każdego miesiąca w Warszawie
(Adres: Krakowskie Przedmieście Nr. 6)

Agencya dla Galicyi u St. Sokołowskiego Lwów, Pasaż
— Hausmana 6. —

Cena zeszytu kop. 60, — w prenumeracie kop. 42.

(Rok XII.)

(Rok XII.)

KONRAD KAIM I SYN



HARMONIUM

Lwów,
Kopernika 16.

Największy wybór instrumentów krajowych i zagranicznych z długoletnią fachową gwarancją. — Na składzie około 25 harmonium. Sprzedaje, wymienia, wypożycza i kupuje.

NOWE:

Harmonium system amerykańskie od Kor. 160 pokojowe, szkolne i kościelne do	K. 1000
Pianino krzyżowe czarne lub mahoniowe od	K. 600
Fortepian krzyżowy, czarny lub mahoniowy od	K. 800
Instrumenta orzechowe jasne o 20 Kor. taniej.	

UŻYWANE:

Fortepian krótki od	K. 300
Pianino od	K. 350
Harmonium od	K. 100

Ceny najmu instrumentu liczy się od koron 10 miesięcznie.

Na żądanie wysyła stroiciela-technika.

Filie: Tarnów, — Zakopane.